

Raymond Z. Gallun

Powrót legendy

(Return of a Legend)

Planet Stories, March 1952

Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain

© Public Domain

This text is translation of the short story "Return of a Legend" by Raymond Z. Gallun.

This etext was produced from Planet Stories, March 1952. Extensive research did not uncover any evidence that the U.S. copyright on this publication was renewed.

It is assumed that this copyright notice explains the legal situation in the United States. Copyright laws in most countries are in a constant state of change. If you are outside the United States, check the laws of the appropriate country.

Copyright for the translation is transferred by the translator to the Public Domain.

This eBook is for the use of anyone anywhere at no cost and with no restrictions whatsoever.

Port Laribee ze swoją dwudziestką chat Nissona, szczelnych budynków zabezpieczających przed niezdadną do życia atmosferą, czerwonym pyłem i zimnem, był dosyć nędznym kawałkiem Ziemi, rzuconym na Marsa.

Stamtąd właśnie, wyruszył Dave Kort pierwszy z trampów przemierzających marsjańskie pustkowia, który zapisał się w historii. W ciepłych porach roku ściągał do Port Laribee, uginając się pod ciężarem ładunku, który tylko dzięki sile ciężkości równej dwie piąte ziemskiej, pozostawał w zasięgu ludzkich możliwości. Był to wielki, twardy, starszy mężczyzna, niebywale brudny i ogorzały, z odmrożeniami obłożonymi suchymi liśćmi marsjańskich ziół, przymocowanych ich własnymi łodygami.

Jego szeroki uśmiech, ozdobiony wyszczerzonymi resztkami uzębienia, robił wrażenie, skrywany nieco przez porysowany plastik kaptura powietrznego. Sprzedawał rzeźbione kamienie, kawałki starożytnych metali i niezwykłości świata roślinnego i zwierzęcego, kupując w zamian tytoń do żucia, czekoladę, mocno podszyte ubrania, części zapasowe i nowe rzeczy do swojego zdezelowanego, przenośnego kompresora powietrza.

Z pogardą odmawiał kąpeli. A w końcu, przy każdej wizycie, jego ochrypli, monosylabiczny sposób mówienia, stopniowo stawał się coraz bardziej elokwentny.

— No to na razie, ludziska — mawiał na koniec. — Trzymajta się.

Wichry równonocy, obwieszczające jesień, wyją przeciągle jak duchy Marsjan, którzy całe stulecia temu, powybijali się nawzajem w wojnie. Pył zasnuwa horyzont tego ogromnego, trójkątnego dna morza, nazywanego Syrtis Major – tej ciągle najbardziej wpływającej na wyobraźnię, krainy Czerwonej Planety. Podczas nocy, suchy mróz osiąga tutaj do dziewięćdziesięciu stopni Fahrenheita poniżej zera.

Kiedy rzucił robotę, jako pracownik pomocniczy w obserwatoriach naukowych, specjaliści z Port Laribee, którzy przez całe pełne wyrzeczeń lata wpatrywali się w wirujące mierniki siły wiatru, termometry i barometry, wydzierając Marsowi ułamki wiedzy o nim, twierdzili, że Dave’a Korta nigdy więcej już nie zobaczą.

Jednak co roku, przez trzy kolejne pory letnie, pojawiał się obdarty, brudny i wychudzony na szczapę, ale zawsze szeroko uśmiechnięty.

Młody John Dayton, świeżo przybyły z Ziemi i ciągle zafascynowany Marsem, podczas trzeciego lata zadał mu to podstawowe pytanie. Odpowiedź na nie była bardzo lakoniczna.

— Och... Po prostu znam ten kraj. Żyję z nim w zgodzie.

Jednak, po upływie czwartej zimy, Dave Kort nie wrócił. Nikt nigdy już go więcej nie widział. Nikt też nie znalazł między ruinami i spokojnymi, pastelowymi cieniami Marsa, wysuszonych resztek, będących kiedyś Kortem. Pogrzebał go gdzieś, przemieszczający się piasek. Również nikt tak do końca nie rozumiał jego życia. Jeżeli w stosunku do niego pojawiała się jakaś nuta sympatii, odnosiła się ona do opowieści o nim, a nie do samego człowieka. Człowiek umarł, ale opowieść przetrwała.

Dave Kort potrafił przeżyć na tym pustkowiu, samotnie i przy minimalnej tylko pomocy urządzeń, przez trzy marsjańskie lata – zgodnie z kalendarzem ziemskim, niemal sześć. To był naprawdę niezły wyczyn. Przede wszystkim, atmosfera na Marsie, ma ciśnienie równe tylko jednej dziewiątej ziemskiej, a na poziomie powierzchni zawiera ona jedynie śladowe ilości tlenu.

Jak Kort tego dokonał, było to zupełnie niepojęte.

W procesach odżywczych, pod wpływem światła słonecznego, zielone rośliny na Marsie, produkowały tlen z dwutlenku węgla, tak samo jak ziemska roślinność. Ale zamiast wypuszczać go swobodnie w powietrze, wiele z tych porostów marsjańskich, zabezpieczając sobie podstawy życiowe na umierającej planecie, zbierało swój tlen w jamach w łodygach, korzeniach i podziemnych bulwach, aby wykorzystywać go potem do powolnego spalania tkanek, podobnie jak u stałocieplnych zwierząt, i w ten sposób chronić swoje wnętrze przed zimnem i śmiercią.

Przekłuwanie tych naturalnych magazynów tlenu zaostrzoną metalową pipetą podłączoną do stopniowo opróżniającego je kompresora, było dobrze znanym sposobem przetrwania na Marsie, w nadzwyczajnych sytuacjach. W ten sposób można było żmudnie uzupełniać butle z tlenem kaptura powietrznego. Proste – tak. Ale to wyczerpująca, monotonna, nigdy niekończąca się praca, o ile Dayton mógł to sobie wyobrazić.

Trzeba było także jakoś zdobyć żywność i schronienie. Na szczęście pod zaroślami rozpościerała się głęboka na pięć stóp warstwa obumarłych szczątków roślinnych, suchych, gęsto pozczepianych, w tym klimacie rozkładających się bardzo powoli. Przyrastała ona jesień za jesienią przez marsjańskie wieki. Właśnie w tym dywanie można było znaleźć te przechowujące tlen bulwy i korzenie, często popękane, uwalniające swoją zawartość, która utrzymywała się potem w otaczającym je gąbczastym materiale. Rosło tam również wiele zielonych alg – prostszych roślin pełniących te same funkcje. Porastające powierzchnię zarośla wydawały tam owoce i nasiona, skryte przed zimnem. Tam również wycofały się pozostałe przy życiu zwierzęta.

Kudłate, płowe stworzenia, głośno świergocące; tłuste zwierzęta, podobne do podziemnych ssaków, które nigdy nie wyglądały na otwarte niebo; wielosegmentowe istoty, przypominające mrówki, ze swojej pracowitości i zdolności do życia społecznego (ale tylko z nich). Ponad powierzchnią ziemi budowały one małe, przezroczyste kopuły utrzymujące powietrze – podobne do baniek konstrukcje, uformowane ze stwardniałej wydzieliny ich szczęk. W nich skrywały swoje specyficzne ogrody oraz rozgrzewały na słońcu młode.

Tak więc, człowiek zdolny do sięgnięcia po metody odmienne od jego ludzkiego dziedzictwa, był w stanie znaleźć sposób na utrzymanie się przy życiu, w surowych marsjańskich dzikich ostępach.

Pewnego razu Lorrington, lekarz, powiedział do Joego Daytony:

— Kort musiał siedzieć w jakiejś norze, jak niedźwiedź. Czy to jest życie dla człowieka? Oczywiście wierzchołek trójkąta Syrtis Major, tutaj, w okolicy Port Larabee, to daleka północ. Ale nawet gdyby udało mu się pokonać całą drogę, aż do tropików, to noce tam też są bardzo mroźne. Tak więc, podstawowym pytaniem jest nie to, jak udało mu się żyć, tak jak żył, tylko dlaczego?

Tak, to była kwestia, nad którą Dayton często się zastanawiał, marszcząc swoje gęste, czarne brwi, podczas gdy jego szerokie usta uśmiechały się enigmatycznie na solidnej szczęcie. Co skłoniło Korty do życia w samotności znacznie głębszej niż w przypadku pradawnych pustelników czy pustynnych szczurów? Czy był tylko wielkim dzieciakiem, błakającym się instynktownie pośród mgieł nieprzystosowania swojego umysłu, aż do znalezienia miejsca w którym poczuł spokój?

Dayton przyjął jako podstawowe, inne wytłumaczenie.

— Dlaczego nie, Doc? — powiedział Lorringtonowi, kiedy grali w karty w sali wypoczynkowej. — Odpowiedź znajdziesz we wszystkich nas, którzy tutaj jesteśmy. Inaczej byśmy w ogóle nie przylecieli na Marsa. Czy kiedykolwiek było miejsce o takim historycznym znaczeniu, tak zagadkowe, o takim obcym pięknie i tak fascynujące dla człowieka? W stosunku do niego, nie można być neutralnym. Jeśli ktoś nienawidzi Marsa, po prostu tutaj nie zostanie. Jeśli ktoś go na wpół kocha, tak jak większość z nas, może to zrobić – przynajmniej chwilowo. Ale jeśli ktoś go kocha naprawdę, chciałby go obejrzeć znacznie dokładniej, niż można to zrobić z perspektywy Port Larabee, z którego wyrusza się tylko jako turysta. Fatalnie się składa, że na dłuższą metę Mars jest trochę zbyt wymagający dla ludzi. Szkoda, że Marsjanie wymarli. Kiedyś były tutaj nawet maszyny utrzymujące lepsze warunki klimatyczne.

Słyszeli to również inni specjaliści. Śmiali się, ale wiedzieli o co chodzi Daytonowi. Oglądali przecież pokryte wydmami pustynie, ogromne rzeźbione monolity, wyszlifowane przez piasek stery złomu. Pobyt tutaj miał w sobie coś z uroku wędrówki w poszukiwaniu starożytnych skarbów, naznaczonej atmosferą śmierci.

Parsons, metalurg, stwierdził:

— To zabawne, ale pamiętam jak wyglądał Kort – przygięty, dokładnie tak samo jak postaci na płaskorzeźbach. A przecież konstrukcja szkieletu Marsjan była zupełnie inna. To wygląda, jakby coś marsjańskiego przesaczyło się do ciała Korty, co nie? Do diabła, tu nie chodzi o żadną pseudo-naukę! Wystarczy pokopać trochę w piachu i to przy niskiej grawitacji, i człowiek naturalnie przyjmuje taką postawę, z nawyku. A teraz możecie nazywać mnie szajbusem!

— Jesteś szajbusem, Parsons — uprzejmie potwierdził Kettrich, biolog.

Nie minęło wiele czasu, jak do Port Larabee przybyli Frank Terry i jego syn. Zabranie siedmioletniego chłopca – ruchliwego małego chłopaka o

imieniu Will – na niezbyt nadającego się do życia Marsa, od razu określało starszego Terry’ego, jako dziwaka.

Czy matka chłopca nie żyła, czy się rozwiedli? Czy Terry był jakimś utracjuszem, zesłanym tutaj przez swoją rodzinę? Wydawał się gustować raczej w wygodnym życiu... Ale taka ciekawość, jest w złym smaku. Dajmy temu spokój.

— Podoba nam się atmosfera tego miejsca — wyjaśniał Frank Terry. — Pomyśleliśmy sobie, że zrobimy parę zdjęć i naprawdę zaprzyjaźnimy się z tutejszymi warunkami...

Słuchający tego, przewidywali, że w ciągu tygodnia typowy dla nowicjuszy entuzjazm Terry’ego wywietrzeje i wkrótce stąd wyjedzie. Być może tylko Dayton myślał inaczej. Intelaktualnie nastawiony Terry, nie był specjalnie podobny do Dave’a Korta. A jednak, odnosiło się pewne wrażenie, że ich charaktery, mogą mieć jakieś wspólne elementy.

W czasie kolejnego roku marsjańskiego, Dayton i ludzie z obserwatorium widzieli jak stosy lśniących sportowych gadżetów, zaczęły stopniowo znikać z tej pary. Z każdym kolejnym wypadem w dzikie tereny, zabierali ze sobą coraz mniej ekwipunku. Wkrótce, jako dodatkowa izolacja przeciwko zimnu, zaczęły im służyć suszone porosty, upchane w ich utrzymujących powietrze ubiorach.

Ze swoich coraz dłuższych wypraw, przywozili zwykłe znaleziska – złote ornamenty, rzeźby, fragmenty urządzeń, które nie uległy zniszczeniu. Do tego zwykłe zdjęcia niebiesko-zielonych zarośli, kopuł miast zmiecionych przez wojnę, miast podzielonych na komórki, jak plastry miodu, sugerujących występowanie w cyklu życia starożytnych, okresu larwalnego, oraz ziemi, zasypanej okruchami roztrzaskanego kryształu – aby zabezpieczyć się przed coraz bardziej surowym klimatem, większość terytorium zamieszkanego przez Marsjan była pokryta zadaszaniem z przezroczystego kwarcu.

Frank Terry zmienił się w brodatego, obdartego człowieka. Will nie był już rozmownym, towarzyskim dzieciakiem. Ciągłe bardzo oddany swojemu ojcu, zrobił się nieśmiały, ponury i jakoś po nowemu czujny.

Miał też zwierzaka-maskotkę, podobnego do ośmiocalowej gąsienicy, chociaż nie był to w ogóle owad. Zwierzę porośnięte było złotym futrem, ciepłokrwiste, inteligentne. Miało siedem paciorkowatych oczu. Pełzało po ramionach chłopca, chowając się w jego ubraniu i niesamowicie ćwierkając. Poza ojcem, było to jedyne towarzystwo, jakiego pragnął chłopiec.

Wkrótce lato się skończyło i ciemnoniebieskie niebo pokryło się gniewną mgiełką. Vitrak, główny naukowiec, spytał Franka:

— Chyba nie masz zamiaru ponownie wyruszyć w teren, co Terry?

Dzieciak nie owijał w bawełnę:

— Lepiej już chodźmy, tato. Chciałbym wracać. Poza tym, Digger tęskni za domem.

Następnego dnia, rano, kiedy zakończyła się równonocna burza, obaj Terry zniknęli.

Joe Dayton poprowadził ekspedycję poszukiwawczą. Niczego nie znaleźli. Mars to może niewielka planeta, ale mimo wszystko bardzo

rozległa. Jego powierzchnia całkowita równa jest powierzchni lądów na Ziemi. Od czasu przybycia pierwszych ludzi, nawet na jednej mili kwadratowa na tysiąc, nie stanęła jeszcze stopa człowieka.

Późną wiosną wędrujący odkrywcy znaleźli mumię Franka Terry'ego, w odległych regionach Syrtis Major, otoczoną solą pradawnego oceanu. Kiedy przynieśli ją do Port Laribee, nie była jeszcze zupełnie wysuszona. A więc, Terry musiał przetrwać zimę.

Chłopiec z pewnością także musiał zginąć. Ale do Portu dobiegały różne opowieści – o znalezionych dziurach w rozmięklej ziemi i o małej, ciężko obciążonej postaci, która zawsze uciekała na widok człowieka.

Zgodnie z powszechną opinią, były to czyste wymysły, mające zainteresować turystów, którzy przybyli tego roku lśniącym, podekscytowanym tłumem, ogarnięci czarem Czerwonej Planety, a jednak bezpiecznie przed nią chronieni, wyekwipowani przez sklepy polecane przez najbardziej doświadczonych kosmicznych wędrowców – jeżeli ktoś taki w ogóle istniał. Wielu z nich chętnie by pozostało, a wśród nich dziewczęta, o pięknych buziach, to pewne, z dreszczykiem emocji widocznym w oczach i głosie. Zapał, tak – ale jak długo wytrzymały by one tutaj, w tym miejscu tak obfitującym w obcość i trudnym do życia z jej powodu?

Joe Dayton wzruszył ramionami, smutny, że jego opinia o turystach, była taka zła. Byli oczywiście trzeźwiej myślący przybysze. W większości krewni ludzi pracujących w Port Laribee. Żona Willowby'ego. Mała córeczka Doca Lorringa, Tillie, która przyleciała tutaj, aby złożyć wizytę ojcu. Pomędzy turystami było również parę innych dzieci.

Wśród nowoprzybyłych znalazł się też starszy brat zmarłego Franka Terry'ego. Dolph Terry był wielkim mężczyzną, ale spod maski uroczego uśmiechu, wyglądała sztywność i zadufanie w sobie. No i pojawiła się również dziewczyna o nazwisku Terry, która miała na imię Doran. Nie wydawała się specjalnie podobna do któregoś ze swoich braci – ani do mistycznego wędrowcy Franka, ani do sztywniaka Dolpha. Była od nich dużo młodsza, opalona, nieco zaintrygowana tym, że znalazła się na innej planecie, nie jakoś strasznie śliczna, ale lubiąca dobrodusze wzruszenia ramionami i przyjacielskie chichoty, kiedy tylko udało jej się na chwilę zapomnieć o bratanku.

Dayton uważał, że w napływających z dziczy opowieściach, może być nieco prawdy. Znał przecież młodego Willa Terry. Poza tym, uważał, że pod świadomością dziecka, kryją się zdolności adaptacyjne znacznie przekraczające możliwości dorosłego. Tak więc, to było coś właśnie dla niego.

— Pomimo wszystko, William to syn Franka — powiedział Daytonowi Dolph. — Frank był, taki jaki był. Ale moja siostra i ja jesteśmy tutaj, aby dopilnować znalezienia chłopca. Być może ciągle jeszcze będzie można mu zapewnić normalne dzieciństwo.

— Zrobimy wszystko, co w naszej mocy — odparł Dayton, uśmiechając się krzywo, aby zgasić trochę naiwny i pewny siebie nastrój mężczyzny.

Przez ostatnią część długiego lata toczyły się poszukiwania; wielu z gości wzięło w nich udział, rozciągając je daleko poza krótkie trasy dla łazików, stanowiące zwykłą prezentację Marsa dla turystów.

Dolph Terry był zawzięty, ale niezdarny i drażliwy. Szorstka wesołość jego siostry i jej zainteresowanie otoczeniem, spodobały się Daytonowi.

I w końcu – przede wszystkim dzięki czystemu szczęściu – to John Dayton w pojedynkę, schwycił Willy’ego Terry. Znowu zbliżała się jesień. Joe wypatrzył w zaroślach przemykającą się postać. Celem Daytona było obezwładnienie chłopca. Przygotował się do rzucania i po chwili dzikie, brudne stworzenie, będące ośmioletnim ludzkim dzieckiem, walczyło o wyrwanie się z jego uścisku.

Pomruk jego słów, przebijających się przez cienkie powłoki dwóch kapturów powietrznych oraz rzadkie powietrze między nimi, nie łagodził dzikości płonącej w tych bladych oczach. Takie oczy mogłyby wydawać się pustą maską – niepozbawione inteligencji, ale wskazujące na odmienną płaszczyznę myślową.

— Spokojnie, Will – spokojnie, stary – powiedział Dayton. — Nie wytrzymałbyś już dużo dłużej, w tej dziczy. Twój kompresor musi być już niemal zupełnie zużyty.

Próba uspokojenia, nie powiodła się.

— Puszczaj mnie! — warknął niewyraźnie chłopiec. Jego mowa trochę zardzewiała, z powodu samotności. Przy pomocy ojca, nauczył się sztuki przeżycia w dziczy. Zacierająca się we wspomnieniach przeszłość była tak zupełnie odmienna od jego obecnego życia, że być może wydawała mu się przerażająco obca. Kiedy Dayton zmagał się z opierającym się chłopcem, próbując zaciągnąć go do łazika, naszło go dziwaczne wrażenie, że tak mógłby się zachowywać schwytany przez ludzi Marsjanin.

Przypomniawszy sobie stare opowieści o chłopcach wychowanych przez wilki albo małpy. Tutaj miał do czynienia z taką samą utratą ludzkiego sposobu myślenia – nie przez jakąś tam migrację dusz, ale z powodu zwykłego uformowania się nawyków w odmiennym środowisku.

W szpitalu w Port Larabee, Will Terry początkowo był najspokojniejszy, kiedy zostawiano go samego. Ale jego całonocne kwilenia, przypominały Daytonowi jęki marsjańskiej burzy.

Dolph Terry przeklinał konieczność czekania na liniowiec na Ziemię i brak na Marsie psychiatrów. Doran również nie miała szczęścia, w próbach zaprzyjaźnienia się z Willem. W międzyczasie, rozpoczął się sezon burz.

Doran jednak wpadła na kolejny pomysł. Nadal wielu gości oczekiwało na powrót do domu. Wśród nich były również dzieci.

— Dzieci to dzieci, Joe — powiedziała do Daytona. — One może zdołają dotrzeć do Willa. Omówiłam to z Docem Lorryngiem.

Miała rację. Stopniowo, najpierw powoli, a potem coraz szybciej, blask schwytanego w sidła rysia, zniknął z oczu Willa, w miarę jak akceptował on przerażające, lecz fascynujące towarzystwo w szpitalu, innych dzieci. Ciągle miał Diggera. W końcu pozwolił innym również bawić się z futrzastym stworzeniem. Obcość zaczęła się rozpląwać po obu stronach. Wróciła dziecięca śmiałość. Być może dzięki dziecięcej wyobraźni i skłonności do fantazji, która była w stanie zaakceptować nawet

humanizację zwierząt i owadów, Will i jego nowi przyjaciele, znaleźli wspólny mianownik dla swojego życia na Marsie. Chłopiec stał się bohaterem. Doran i Joe podsłuchali parę jego przechwałek.

— No pewnie, że umiem naprawić sprężarkę powietrza. Tata mi pokazał. Mówił, że Mars jest naszym domem. Ja wracam.

Pewnego poranka, Will zniknął ze szpitala. Wymknął się, korzystając z chwili nieuwagi, gdy uwaga szpitalnej obsługi została odwrócona przez inne dzieci. Razem z nim zniknęły dwa kaptury powietrzne, skafandry marsjańskie i kompresory. I jeszcze do kompletu chłopiec, który nazywał się Danny Bryant.

Obrazu sytuacji dopełniła skarga ośmioletniej chłopczycy samego Lorringa:

— Oni nie chcieli mnie zabrać ze sobą!

Tego dnia wył wiatr i smugi pyłu rozpościerające się na niebie, zrobiły się jasno śniade. Rodzina Danny'ego Bryanta, była bliska hysterii. Nawet biorąc pod uwagę całą głupotę chłopców, wydawało się, że nic nie może dorównać temu wyczynowi. Dolph Terry snuł zdecydowane rozważania, o tym, jakiego to podstępного potwora spłodził i wychował jego brat. Goście, przedtem zauroczeni Marsem, teraz zrobili się ponurzy i zapanowało pośród nich napięcie. Pozostałe dzieci były wystraszone i bardzo poważne.

Oczy Doran pełne były poczucia winy i zgryzoty.

— To mój pomysł spowodował te kłopoty, Joe — powiedziała do Daytona. — Muszę coś zrobić. Muszę wyruszyć śladem Willa i sprowadzić chłopców z powrotem. Skoro Will to potrafił, ja również zdołam tam przeżyć.

Dayton popatrzył na nią z zamyśleniem. Wcale nie uważał by to wydarzenie było taką straszną tragedią, oczywiście nie mówiąc o Bryantach. Potrafił zrozumieć tę miłość chłopca do dzikiej marsjańskiej pustyni.

— Wyjdź za mnie, Doran i wyruszymy razem — zaproponował Joe.

I tak też się stało. Dolph chyba sobie pomyślał, że cała jego rodzina oszalała. Vitrac, kierownik bazy, który dopełnił ceremonii, też chyba tak sądził.

Joe i Doran dotarli dużo dalej niż inni poszukiwacze. Czasami, w szumie burzy, wydawało im się, że słyszą szlochanie dziecka. Błakali się wtedy w ciemnościach pośród chmur pyłu, podążając za czymś, co zawsze okazywało się fałszywą nadzieją.

Pierwsza noc runęła na nich ryczącym wirem śmiertelnego zimna i kompletną ciemnością. Przy takim wietrze, ustawienie nadmuchiwanego namiotu, byłoby trudne dla zeszytywniałych na mrozie palców. Oni jednak w ogóle nie mieli czegoś takiego. Zamiast tego, zagrzebali się pod zaroślami w warstwie suchych roślin. Do tego, nie trzeba było innych narzędzi, poza ich grubymi rękawicami. Wykopali głęboką jamę, ubijając za sobą wykopane, budzące wstręt resztki roślin, aby zatkać wejście. Udało im się nawet wyciszyć wycie burzy.

— To chyba najdziwniejszy miesiąc miodowy na świecie! — roześmiała się Doran.

Śmierdzące pleśnią powietrze, uwięzione razem z nimi, miało sporą zawartość tlenu. Aby wzbogacić je jeszcze bardziej, korzystając z noży, porozcinali kapsuły korzeni. W korzeniach wytwarzało się również trochę ciepła. Wkrótce nad ich głowami utworzyła się dodatkowa warstwa izolacyjna i uszczelniająca, z naniesionego pyłu.

Joe mógł tutaj zdjąć kaptur powietrzny, tak więc przytulił mocno żonę, w gwałtownym geście wyrażającym chęć ochrony, żal oraz przeprosiny za te wszystkie subtelne, stworzone przez człowieka luksusowe warunki, jakie powinni mieć, zwłaszcza w takiej chwili, a których nie mieli. Zamiast tego, musieli siedzieć w ciemności, pod warstwą marsjańskiej ziemi i liści. Raj dla larw. Starożytne stworzenia z Czerwonej Planety mogły żyć w ten sposób, kiedy zmusiła je do tego potrzeba, ale była to egzystencja daleka od torów wytyczonych dla ludzi.

— Kiedy wrócimy, wszystko to ci zapewnię, Doran — Joe drażył temat.

Wyczuwało się w nim pewną obawę przed zbyt długim uleganiem wpływom tego dziwnego otoczenia oraz, że w jakiś sposób mógłby utracić swoje ludzkie dziedzictwo.

— Czytam w twoich myślach — roześmiała się Doran. — Nie martw się. Oboje za bardzo lubimy zapach kawy i smażonego bekonu. Do tego muzykę, ładne meble i spacer po parku. Nie jesteśmy podobni takich ludzi, jak kiedyś Frank, czy teraz młody Bill. Nie. Dzięki tej wyprawie będziemy bardziej pożądanymi rzeczami — mocniej zwiążemy się z Ziemią.

O świcie dalej błądzili po okolicy. W czasie trzeciej spędzonej pod ziemią nocy, zostali obrabowani podczas snu. Zniknęło parę batonów czekoladowych i innych koncentratów żywnościowych. I ołówek Joego. Ich aparat nadawczo-odbiorczy przestał działać. Jakieś gdakające, natrętnie ćwierkające stworzenia marsjańskie, zakradły się do jego wnętrza i go popsuły.

Tak więc Daytonowie, pozbawieni kontaktu z Port Laribee, nie wiedzieli, że Danny Bryant oszołomiony, z mnóstwem odmrożeń, na wpół uduszony, przykuśtykał z powrotem, prosto w ramiona swoich rodziców.

Burza zakończyła się po pięciu dniach. Niewielkie słońce zapłonęło na stalowym niebie, które było równie ostre jak zmrożone powietrze. Od razu ich nastrój mocno się poprawił. Wracać do Port Laribee? Kusiło to Daytonów. Ale przecież nie odnaleźli jeszcze chłopców. Poza tym, byli daleko w terenie. A co więcej, skoro większość z ich zasobów została już zużyta, bądź rozkradziona, sam proces przetrwania zabierał im wiele czasu i energii, spowalniając w ten sposób podróż. Tak więc, równie dobrze mogli ciągnąć to dalej, co nie?

Wydawało się im, że już od zawsze korzystali z zaostrej pipety i kompresora, do napełniania butli tlenem z kapsuł w kawałkach roślin. O świcie, zbierali kryształki szronu wyciśniętego z atmosfery przez nocne zimno, pozyskując w ten sposób wodę do picia. Jedli podziemne owoce i skrobiowy miąższ pewnych korzeni. Bojąc się zatrucia, nieznanne rzeczy kosztowali z największą uwagą.

Marsjańskie świny, ryjące tunele w swoich nieustannych ślepych poszukiwaniach żywności, w ciemnościach panujących pod grubymi

dywanami z liści, były trudną zwierzyną. Dayton miał niewielką atokuchenkę, która służyła jako podstawa ich skromnej kuchni.

Mijały tygodnie i w miarę jak Daytonowie przemieszczali się na południe, zagłębiając się w rozszerzający się obszar Syrtis Major, ten dziwny styl życia stał się czymś zwyczajnym. Być może było tam odrobinę cieplej. Niektóre z wysuszonych na papier roślin były ciągle niebiesko-zielone. Jeszcze więcej było brązowych z powodu zimowej suszy. Trudniej było znaleźć niezbędne rzeczy.

Czasami, pośród pastelowo ubarwionych zarośli i niskich wzgórz, pojawiały się płaty prawdziwej marsjańskiej pustyni, czerwonej i pozbawionej życia.

Po wyczerpującym dniu następowała noc i jakże przyjemne było ciepło nory, w której można było opatrzyć odmrożenia nabyte o lodowatym świetle.

Kilka razy ślady wielkich butów, ale o krótkim kroku, prowadziły przez jakiś czas Daytonów, tylko po to by zniknąć na skałach i porostach.

Dwukrotnie Joe i Doran pokonywali zniszczone przez wojnę pozostałości wielkich miast. Całe ruiny zaśmiecone były przez zapadnięte dachy kopuł ciepłych. Stosy pordzewiałych kawałków metalu, musiały kiedyś być pompami irygacyjnymi, rampami statków kosmicznych, urządzeniami do kontroli klimatu.

W wieżach, magazynach, na ulicach, wszędzie widać było leżące szkielety, z ich dziwaczными pionowymi żebrami, w których mieściły się wielkie płuca.

Niektóre z maszyn ciągle działały. Joe znalazł pręt – prawdopodobnie z odpornej na korozję platyny. Nacisnął znajdujący się na nim bolec i na chwilę, zanim urządzenie uległo ostatecznemu zniszczeniu, rozbrzysnął ogień, który stopił część fantazyjnej naściennej płaskorzeźby.

Walka o przetrwanie stała się jeszcze trudniejsza. Raz przed śmiercią z pragnienia ocalała ich gorzka woda, sącząca się z zagrzebanej w ziemi rury irygacyjnej.

Kilka razy tlen udało im się uzyskać jedynie poprzez wytrwałe wylegiwanie nad rojącą się kolonią jakichś chitynowych stworzeń, które instynktownie budowały powietrzne kopuły ochronne nad wszystkim, co mogło im się potencjalnie przydać do zjedzenia. Te marsjańskie mrówki – zazwyczaj omijane z daleka – dostarczały do wybudowanych przez siebie kopuł powietrze, z tuneli i komór położonych w głębi ziemi.

Joe często spoglądał na żonę, widząc jak oboje się zmienili. Byli obdarci i wyglądali trochę jak postaci z płaskorzeźb. Ciągle jednak szukali Dave'a Korta i Willa Terry'ego. Zęby Doran świeciły bielą na twarzy opalonej przez promienie słoneczne filtrowane tylko przez rzadką atmosferę marsjańską. Była bardzo wychudzona, ale w rysach jej twarzy krył się specyficzny urok. Albo może to jego pojęcie piękna uległo subtelnej zmianie, dostosowując się do teraz tak spowszedniałego środowiska?

Myśli o przeszłości w Port Larabee oraz na samej Ziemi często przypominały odcieleśnione sny, tak odmienne były te wspomnienia od otaczającej ich rzeczywistości. A zanikające obrzydzenie, nawet do

pełzających budowniczych kopuł powietrznych, czy nie powinna być to okoliczność wzbudzająca głębszą obawę utraty kolejnego elementu ich naturalnej jaźni?

Joe często się martwił. Innych również ściągnęła na Marsa żądza odkrycia tajemnic jego przeszłości i mieszkańców – cała ta intrygująca otoczką – ale większość Ziemiaków miała na tyle rozumu, żeby na czas uświadomić sobie, że to jest ruina planety, nieodpowiednia dla ludzi. Ponieważ, aby przeżyć na warunkach miejscowych stworzeń, człowiek musiał przestać być człowiekiem. Uwarunkowanie wsączało się w niego jak czerwony pył.

Pułapka ta nie była wcale czystym wymysłem. Najbardziej przerażająca częścią tego wszystkiego, była świadomość, że Doran zaszła w ciążę. Niech diabli wezmą te tętniące w ciele siły życiowe, które nie biorą pod uwagę okoliczności!

Joemu pozostawało tylko cieszyć się z tego, że pozostało w niej na tyle dużo człowieczeństwa, by być na zmianę rozdrażnioną albo radosną i optymistyczną.

— Przecież nie możemy wrócić, co nie, Joe? — mawiała. — Ale może wszystko jakoś się ułoży. Zostało jeszcze dużo czasu.

Czy powinni spróbować osiąść gdzieś w jakiejś dziurze? To też specjalnie nic nie dawało. W jednym miejscu, nawet wiosną nie wystarczyłoby zasobów, dla utrzymania ich przy życiu przez dłuższy czas. Musieli się przemieszczać. Tak więc, kiedy po raz kolejny zobaczyli ślady butów, nie zastanawiali się nawet i ruszyli za nimi.

Nadeszły łagodniejsze dni. W południe temperatura dochodziła do czterdziestu stopni Fahrenheita. Po wiosennych burzach, ziemia rozjaśniała się pastelowym pięknem. Pojawiły się cudowne, podobne do kwiatów porosty. Ślady ginęły i ponownie się pojawiały, tak że poszukiwania nie wyglądały jak pojedyncza wyprawa, lecz raczej seria wycieczek, skądś między wzgórzami, dokądś, coraz dalej na południe.

Pewnego razu Doran i Joe usłyszeli przyciszone pohukiwanie albo wyzywający okrzyk.

Jedna z dwu sprężarek powietrza, jakie mieli, zepsuła się tak, że nie dało jej się naprawić, mieli więc dwa razy więcej pracy przy napełnianiu butli z tlenem. Mogło to nieść dla nich śmiertelne zagrożenie.

Niedługo potem, kiedy minęli wejście do wąwozu, spadła na nich skała, za blisko, aby była to sprawa przypadku, czy zbiegu okoliczności. Dostrzegli potem tylko szybko zanikający błysk, jakby migotanie poruszonego pyłu.

Tego samego dnia, po południu, Joe musiał odeprzeć atak tak nagły i gwałtowny, jakby rzucił się na niego ryś. Jakieś stworzenie skoczyło na niego z występu skalnego, drapiąc, kopiąc i dźgając nożem. Joe przeżył trudne chwile, zanim zwyciężyła jego większa siła.

Doran pomogła unieruchomić swojego bratanka. Will Terry był poobijany, zahartowany, pokryty bliznami i ledwie rozpoznawalny, szczerząc na nich zęby.

Ale, dziwnym sposobem, Joe od razu wiedział, co powiedzieć, aby go uspokoić.

— Will, widzisz przecież, że wyglądamy tak samo jak ty. Może nie chcieliśmy, aby tak się stało, ale tak jest, przynajmniej teraz. Nie mamy zamiaru zaciągnąć się siłą do Port Laribee.

Chłopak lekko się odprężył. W jego bladych oczach pojawiło się zainteresowanie, ale nadal były ostrożne.

— A co z tym drugim chłopcem, Danny Bryantem? — spytała Doran.

Wargi Willa wykrzywiły się.

— Był słaby i głupi — odparł, szukając dawno nieużywanych słów. — Odprowadziłem go z powrotem, już dawno temu.

— Dobrze zrobiłeś, Will — rzekł Joe. — Powiedz teraz, co znalazłeś tutaj, na tych wzgórzach. Dostyc długo obozowałeś w jednym miejscu. Pokaż nam.

Aby przełamać zacięty upór chłopca, Joe musiał użyć ostrego polecenia. Skorzystał tak otwartego podejścia, kierowany twardą potrzebą i nadzieją.

W ten sposób, przed zachodem słońca, Doran i Joe znaleźli coś, czego tak bardzo potrzebowali.

— Tata chciał, abyśmy mieli coś takiego — oznajmił dzieciak, na wpół dumnie.

Było to mniej niż obiecywał optymizm – po prostu mała, głęboka dolina, piękna jak z obrazka, ale również cicha i ponura. Joe widział już inne, niemal takie jak ta. Porastała ją marsjańska roślinność, wypuszczająca świeże, niebiesko-zielone liście. Znajdujące się w niej ruiny, były znacznie mniej zniszczone, niż te w miastach. Widać było również niezliczone małe kopuły, mrówkowatych stworzeń, wskazujące na obecność pod ziemią pewnych ilości wody.

Will zwinnie poprowadził ich ścieżką w dół i dalej, przez dolinę, do stojącej tam solidnej budowli. To mogło być jedno z ostatnich schronień, po śmierci milionów, załamaniu się działania urządzeń i gwałtownym pogorszeniu warunków klimatycznych na Marsie. Kryształowe zadaszania leżały roztrzaskane wokół ozdobionej płaskorzeźbami, masywnej budowli pośrodku doliny. Jednak jedno skrzydło, widać z grubszego szkła, ciągle stało i można było je szczelnie zamknąć.

Oczy Doran rozjarzyły się, kiedy wraz z Joem i bratankiem, weszła do pustego wnętrza, przez podwójne wrota śluzy powietrznej, której nie zamknął jakiś ostatni, uciekający Marsjanin.

Śmiałe dzikie rośliny wdarły się do tej cieplarni, ale ciągle widać tam było skrzynie z ziemią, pokazujące, że kiedyś był to chroniony przed zimnem ogród, miejsce pełne kwiatów i owoców.

— Moglibyśmy spróbować to wykorzystać, Joe — powiedziała Doran. Jej głos, w ciężkiej ciszy pomieszczenia, zabrzmiał cienko i słabo.

Skinął głową. Ale jego wdzięczność zabarwiona była tonami obawy i zgorzknienia. Pośpieszył sprawdzić centralną monumentalną budowlę, która przed przybyciem chłopca musiała być zamknięta, ponieważ znajdujące się w środku rzeczy, zachowały się w dobrym stanie. Znalazł w niej dziwne cylindryczne komory, ciemne i pełne pyłu nisze, zakamarki wypełnione stosami metalowych skrzyń. Znajdowało się tu nawet coś, co wyglądało na jakiegoś rodzaju warsztat do naprawy maszyn.

Znalazł również zawór, który, sądząc po śladach stóp w pyłe, Will próbował odkręcić. Joemu oddało się to zrobić, przy pomocy dźwigni z metalowego pręta. Z suchego zbiornika cieplarni, zaczęła tryskać silnym strumieniem rdzawa woda.

— Podziemne cysterny pozostały nienaruszone — szybko wyjaśnił Joe.
— Modliłem się o coś takiego.

Joe Dayton był wdzięczny, ale jeszcze nie szczęśliwy.

Z pomocą pozostałych, ponuro ponownie podjął gorzki trud walki o przetrwanie. Jak dziwacznicy żniwiarze wydzielali ziemi wielkie pakunki korzeni i łodyg i zbierali je na stosie w cieplarni. Wkrótce niebieskie cienie zachodzącego słońca wydłużyły się, rozpościerając się nad tą niesamowitą, piękną doliną. Potem nadszedł zmrok i cieniutka mgiełka mrozu zawsze zimnych nocy.

— Lepiej pośpieszmy się, zanim zamrozniemy — warknął z irytacją w głosie Joe. — Kiedy zgromadzimy w środku dostatecznie dużo tego materiału, rozdepczemy go, żeby porozgniatać kapsułki z tlenem. Do rana, pod tym dachem powinniśmy mieć atmosferę nadającą się do oddychania. Potem zasadzone w środku rośliny, będą utrzymywać ją w świeżości.

Nastrój Joego, nabrał teraz zabarwienia rozpacz. Zmuszony do podjęcia próby zasiedlenia tego miejsca, czuł się jeszcze mocniej uwikłany w pułapkę. Bardziej niż kiedykolwiek czuł jak dusze zmarłych eony temu istot, widocznych na płaskorzeźbach na murach, oświetlanych w tej chwili przez Fobosa, bliższego z księżyców Marsa, tłoczyły się w jego ludzkim ciele i mózgu, wypychając z niego jego własne ego. Nie, nie chodziło tutaj o żadną czarną magię – sprawa była dużo prostsza. Mars ukształtował swoich starożytnych mieszkańców. Teraz, tymi samymi subtelными, bezlitosnymi palcami, pracował na ziemskim materiale.

Kiedy praca w cieplarni została na ten dzień ukończona, Joe wraz z żoną i jej bratankiem wyszli ponownie, aby wykopać sobie norę zabezpieczającą ich przed zimnem, aby zjeść coś i wyspać się, a wszystko to na sposób, do jakiego zmusił ich Mars.

Joe pragnął, aby Doran i jego dziecko trzymali się ludzkich zwyczajów. Jego dziecko. To było najgorsze o czym mógł pomyśleć.

Przed oczyma stanął mu Will – obdarty, dziki, o dziwnych myślach i uczuciach. A przecież swoje najmłodsze lata przeżył na Ziemi. Co więc stanie się z dzieckiem urodzonym na Marsie? Joe zaklął w głębi swej futrzanej brody – przeklinając odległość od Port Larabee, które było tak nieosiągalne, że równie dobrze mogłoby w ogóle nie istnieć, tak bezskuteczne, że pewnie wkrótce rzeczywiście zostanie opuszczone. Pomimo zmęczenia w kościach, Joe nie spał dobrze tej cichej i spokojnej nocy.

Nazajutrz, pomimo że wykąpana i uśmiechnięta, Doran nie wyglądała w jego oczach zupełnie po ziemsku. Była opalona przez marsjańskie słońce, ale prawdziwa różnica, która weszła w skład jej niesamowitej urody, była kwestią wielu drobnych szczegółów, jak cechy ludzi żyjących nad morzem, w odróżnieniu od tych, którzy urodzili się na stepowych równinach – tyle że na głębszym poziomie.

Wyszorowany i solidnie doczyszczony, Will pozostał chłopcem z Marsa. Joe, również wyszorowany i ogolony, poczuł się dużo lepiej. A jednak zdawał sobie sprawę, że zasadniczo, nic się nie zmieniło.

Następnego dnia, kręcił się w okolicy cieplarni, próbując zaplanować najpotrzebniejsze posunięcia rolnicze, kiedy odległy hurgot kamieni, spowodował, że czujnie się obrócił.

— Ludzie! Ratunek! — te słowa były jego pierwszą entuzjastyczną myślą. Ludzie! Ale kiedy ujrzał trzy zbliżające się postaci, dwie duże i jedną mniejszą, były to stworzenia jednako podporządkowane Marsowi jak on sam i równie wobec niego bezradne.

Jednak gdy rozpoznał starych przyjaciół, pomimo głębokich zmian, jakie w nich zaszły, Joe poczuł radosne uniesienie.

— Doc Lorrington! — zawołał. — Kettrich! I Tillie! Hej, hej, Doran! Will! Chodźcie tutaj!

Mała chłopczyca Doca Lorringtona, nieco młodsza od Willa, pokazała przez porysowany kaptur powietrzny brudną, uśmiechniętą twarz i powiedziała:

— Cześć.

— Próbowaliśmy iść waszym śladem, przez większość czasu, Dayton — wyjąkał Lorrington. — Mieliliśmy nadzieję, że uda nam się was odnaleźć, ciebie, Doran i może chłopaka Terry'ego. Ale wysiadł nasz traktor i musieliśmy żyć tym, co znaleźliśmy na miejscu. Ponieważ mieliśmy pojazd, nie było powodów, żeby Tillie nie miała jechać z nami. Zaczęliśmy już tracić nadzieję, że kogoś z was odnajdziemy żywego.

Pytania i wyjaśnienia zabrały wiele minut. Wszyscy razem udali się do zamkniętej cieplarni. Kettrich, biolog, zachował jeszcze nawet odrobinę kawy.

— Zostawiłem ją sobie, dla uczczenia odnalezienia któregoś z was, zaginionych — oznajmił Joe i Doran.

Kettrich westchnął i mówił dalej.

— Ze starych wyg, w Port, pozostali tylko kierownik Vitrac, Lorson i może kilkunastu innych. Pozostali odlecieli, razem z Dolphem Terry'ym i turystami. Ludziom Mars już się przejadł, chociaż, jak przypuszczam, od czasu do czasu, parę osób jeszcze się pojawi.

Kontemplując każdy łyk, Doran z rozkoszą popijała kawę zaparzoną, ze zgrubsza odfiltrowanej wody, na ato-kuchence. Uśmiechała się jak każda kobieta, która miała męża, znalazła sobie swoje miejsce i cel w życiu.

— Mars nie jest dla ludzi — zastanawiała się. — To jeden ze sposobów przedstawienia sprawy. A jednak, to wcale niekoniecznie musi oznaczać nas. Przyjrzyjmy się faktom — mówiła dalej. — Przez cały czas ma miejsce dobór naturalny. Tysiące ludzi odleciały stąd, zniechęcone. Niewielka grupa pozostała albo ponuro trzymając się swego, albo rzeczywiście wpadając w pułapkę uroku tej planety. Na Ziemi nigdy nie zastanawiałam się wiele na temat Marsa, ale jestem tutaj już od tak dawna. Jesteśmy inni, pewnie także zbyt dumni. Och, ciągle podoba nam się to samo, co lubią ludzie na Ziemi, być może nawet bardziej niż zwykle. Ale Pradawni także mieli tutaj swoje wygody. Jesteśmy krwią z krwi, ciałem z ciała Ziemi; nigdy nie staniemy się tacy jak oni, co mnie bardzo cieszy. Równie dobrze można powiedzieć, że to ludzie są stworzeniami w najwyższym

stopniu adaptującymi się, jak i to, że nie jesteśmy już w pełni ludźmi oraz że ponownie pojawili się Marsjanie. Przecież tak musi być, jeśli naprawdę mamy tutaj zamieszkać, czyż nie? Mars nie pozostanie w ruinie i smutku. Pomiędzy odkrywcami, muszą być inni podobni do nas. A przybywać ich będzie coraz więcej i więcej. Stopniowo, przez kolejne stulecia odbudujemy ponownie Marsa takiego, jakim był kiedyś.

Dayton wpatrywał się w żonę. Potem opuścił na chwilę wzrok, na starożytną podłogę, a następnie powiódł wzrokiem po wszystkich. Tillie zachichotała. Była równie brązowa co Will Terry i niemal równie mocno związana z Czerwoną Planetą. Wokół jej wielokrotnie naprawianej rękawicy owinęło się piszczące puszyste stworzenie. Will i Tillie byli dziećmi Marsa.

Jawnie wyrażona, w otwartej rozmowie, ocena sytuacji przez Doran, odsunęła na bok obawy Joego, dając szansę na powrót miłości do Marsa. Po raz pierwszy poczuł się tu, jak w domu.

— Czy moja żona mówi z sensem? — spytał z zakłopotaniem.

Kettrich i Loring również byli zafascynowani tą planetą – i skłonni do poświęcenia jej lat swojego życia.

— No cóż, z Port Larabee zawsze możemy skontaktować się przez radio — zachichotał Loring. — Tym niemniej utknęliśmy tutaj na dłuższy czas. W międzyczasie zaś – mamy tutaj dziko rosnące jedzenie, jest również i woda. Są narzędzia, maszyny i różne inne intrygujące rzeczy. I dolina do zagospodarowania, na początek. Poza tym, praca tutaj jest ważniejsza i bardziej interesująca.

Tego samego dnia, przed zachodem słońca, Joe i Doran Daytonowie spacerowali sami, w dolinie. Gwiazda Ziemi srebrzyła się już na ciemnoniebieskim zachodnim niebie. Spokojne wzgórza pokryte były ciemnym brązowym cieniem. Błyszczały tylko kopuły marsjańskich mrówek. Fantastyczne, wiosenne kwiaty falowały na wietrze. Pomiędzy ruinami kręciły się leciutkie zawirowania piasku.

Joe Dayton myślał, teraz już ze spokojem i zadowoleniem, o przyszłości, o narodzinach swego dziecka na Czerwonej Planecie.

— Mam nadzieję, że Neo-Marsjanie nie staną się na tyle odmienni, aby zapomnieć o przyjaźni z Ziemianami — dumiała Doran.

Joe skinął głową, podczas gdy jego ręka owijała się wokół jej talii. Dla niego, legendarna historia i obecne fakty, połączyły się w jedno. Szelest wiatru nie był już szeptem martwej przeszłości.

KONIEC